

1

Morza szum, ptaków śpiew, złota plaża... tyle że nie będą to letnie dni, a z ptaków będą drzeć się tylko mewy” – pomyślał detektyw Jacek Kowalik, przypominając sobie tekst piosenki i zastanawiając się nad nowym zleceniem, które właśnie przyjął. Niestety przyjął – i już miał wyrzuty sumienia, bo szanse na wykrycie były niewielkie. Co po ponad półtora roku można zrobić w sprawie utonięcia dziewczyny w Bałtyku? Szukać śladów na wodzie albo na piasku? Dodatkową komplikację stanowiła pora roku – był styczeń, środek zimy, a rodzice dziewczyny, a jednocześnie jego zleceniodawcy, nie chcieli czekać. Byli gotowi zapłacić, żeby jechał zaraz i siedział tam choćby do lata. Mieli szczęście do zarabiania pieniędzy, ale ich jedyna córka zginęła tragicznie. A przecież oddaliby wszystko, żeby ją przywrócić do życia. Teraz chcieli tylko jednego: wyjaśnić do końca okoliczności jej śmierci. I na to nie zamierzali żałować pieniędzy.

Będzie zatem musiał na dłuższy czas opuścić warszawską Pragę, a wraz z nią swoje ulubione mieszkanie, z wszelkimi jego udogodnieniami, jak chociażby czujka stale dyżurująca w bramie i chroniąca wstęp na to typowo praskie podwórko-studnię. Mieszkańcy mieli powody, aby się chronić, bo zajmowali się, ogólnie rzecz biorąc, wszystkim, co nielegalne. Paradoksalnie, właśnie tam zadomowił się były policjant, a obecnie detektyw Jacek Kowalik. I było mu wygodnie, chociaż czasem musiał udawać, że nie widzi i nie słyszy.

Sprawa śmierci dziewiętnastoletniej Dominiki z początku wydawała się prosta.

Z rodzicami dziewczyny spotkał się w kawiarni w centrum handlowym Złote Tarasy, czyli w języku ulicy: „Pod bąblem”. Zobaczył ich, gdy pili kawę, nie rozmawiając ze sobą. Ot, dwoje eleganckich pięćdziesięciolatków, którzy wyszli na sobotni spacer po galerii handlowej i zrobili sobie przerwę. Dziwne było tylko to ich milczenie. Siedzieli ramię w ramię i wpatrywali się w jakiś bliżej nieokreślony punkt w przestrzeni.

W trakcie rozmowy telefonicznej uzgodnili, że mężczyzna będzie miał na sobie niebieską koszulę i brązową marynarkę, i po tym teraz ich poznał. Przywitał się, odsunął krzesło naprzeciwko i wypełnił swoją masywną sylwetką przestrzeń, w którą się wpatrywali. Zerkali na niego ciekawie, zastanawiając się zapewne, czy ten wysoki, dobrze zbudowany i krótko ostrzyżony mężczyzna spełni ich oczekiwania.

Ktoś kiedyś powiedział mu, że jego słowiańska twarz o harmonijnych rysach budzi zaufanie, i chyba tak się właś-

nie stało, bo spojrzeli na siebie porozumiewawczo i nieznacznie kiwnęli głowami.

– Nie wiem, kto mnie państwu polecił i w jakich słowach zarekomendował, ale nie jestem jasnowidzem i może się okazać, że nie wyjaśnię tej sprawy – zaznaczył na wejście detektyw, zdejmując skórzaną czarną kurtkę „Leonkę” i wieszając ją na oparciu krzesła. Zaraz jednak dodał: – Ale mam wystarczająco dużo doświadczenia i umiejętności, żeby wyjaśnić wszystko, co jest do wyjaśnienia. Potrzebuję tylko więcej informacji.

– Naturalnie – przytaknął Marek Postolny, ojciec zmarłej dziewiętnastolatki.

Jego żona Anita wyjęła z torebki pendrive i podała Kowalikowi.

– Tu są wszystkie dokumenty, jakimi dysponujemy. Badanie jej komputera i inne ekspertyzy. Jest także zdjęcie tego anonimu.

Detektyw zmarszczył brwi ze zdziwieniem. O anonimie nie słyszał. Wyjął więc notatnik i długopis z kieszeni.

– Uporządkujmy informacje – powiedział, otwierając notatnik i kładąc go na stole. – Wiem, że córka miała dziewiętnaście lat i pojechała na wakacje w Krynicy Morskiej. Z kim pojechała? Bo dziewczęta w tym wieku raczej same nie wyjeżdżają.

Ojciec dziewczyny skinął głową na zgodę, gdy zobaczył, że detektyw wyjmuje z kieszeni dyktafon i gestem ręki pyta, czy może go włączyć.

– Dominika pojechała z koleżanką w lipcu półtora roku temu. Znalazły jakąś dobrą ofertę w Krynicy Morskiej na tym, no... – zastanowił się chwilę.

– Na Bookingu – pomogła mu żona. – Było dosyć tanio, a ośrodek niezły. Blisko plaży.

– Jak nazywa się ta koleżanka? – zapytał Kowalik, któremu od razu zapaliła się lampka ostrzegawcza. Miał już sprawę dziewczyny, która wywoziła do Niemiec swoje koleżanki i pośredniczyła w zatrudnianiu ich u Turków jako prostytutki.

– Beata Wilińska. Mieszka w Warszawie. Chodziły do jednej klasy – wyjaśnił ojciec.

– Dostanę jej adres albo telefon?

– Jest na pewno w tych dokumentach na pendrivie. Ona chętnie z panem porozmawia. Do tej pory ma wyrzuty sumienia, że zostawiła Dominikę samą. Miały wykupiony dziesięciodniowy pobyt, ale po pięciu Beata wróciła do domu, bo dostała jakiegoś uczulenia. Opuchły jej oczy, miała wysypkę i lekarz kazał jej wyjechać, bo coś tam ją uczuło. Moja córka uparła się, że zostanie do końca. Podobno kogoś poznała i chciała, żeby pobyt się nie zmarnował.

– Ta Beata wie, kogo Dominika poznała?

– Tyle o ile. Siedziała w pokoju, bo miała opuchnięte oczy, i wstydziła się wychodzić. Dominika powiedziała jej tylko, że poznała chłopaka, którego jakichś dwóch typów biło wieczorem na deptaku. Wtrąciła się, zagroziła, że zadzwoni po policję, i zostawili go w spokoju. Spotykała się z nim potem, ale Beata nigdy go nie widziała. Nawet nie poznała jego imienia. No i dwa dni później policjanci

powiadomili nas, że ludzie znaleźli ciało Dominiki w morzu. Poprzedniego wieczoru już nie mogliśmy się do niej dodzwonić.

Kowalik zamyślił się przez chwilę. Zapisał coś w notesie.

– Czy córka dobrze pływała? Często chodziła pływać? – Spojrzał na ojca.

– No właśnie niezbyt. Owszem, potrafiła pływać, nauczyłem ją, zadbałem o to. Potrafiła żabką i na plecach, trochę kraulem. Całkiem nieźle sobie radziła, ale nie była zapaloną pływaczką. Mówiła, że od pływania ramiona robią się szerokie – dodał lekko drżącym już głosem.

– W jakim stroju ją znaleziono?

– W kąpielowym. Ale na plaży nie znaleziono jej rzeczy. W pokoju w ośrodku też nie było jej telefonu ani dokumentów.

– Mógł ktoś ukraść – stwierdził Kowalik i zrobił notatkę. – To w jaki sposób ustalili jej tożsamość? Bo po znalezieniu zadzwonili do was, tak?

Rodzice spojrzeli na siebie i tym razem to żona postanowiła odpowiedzieć.

– A wie pan, że nie zastanawialiśmy się nad tym? Nie dzwoniли, tylko policjant z naszej komendy przyjechał do nas do domu poinformować, że znaleziono naszą córkę. I jeszcze się głupio zapytał, czy pojedziemy na oficjalne potwierdzenie tożsamości. Pojechaliśmy natychmiast i... to była ona. Potem zrobili sekcję zwłok i potwierdzili utonięcie. Rozmawiał z nami policjant z Nowego Dworu. Jego zdaniem w tym miejscu zdarza się prąd wsteczny, który znosi ludzi na morze i nie pozwala dopłynąć do brzegu. Co prawda

wspomniał, że jeden z lekarzy miał wątpliwości, ale... – Zamilkła, bo głos jej się łamał.

– Podobno jeden z lekarzy twierdził, że miała w płucach słodką wodę i podejrzone plamy na ciele – przejął wątek ojciec. – Ale pozostali mieli odmienne zdanie. Ponoć w Zatoce Puckiej woda jest mało słona, bo niedaleko jest ujście Wisły, więc tak może być. A ślady na ciele da się wyjaśnić, bo ciało obracały fale. W protokole z sekcji, który czytaliśmy w prokuraturze, nic o tych wątpliwościach nie wspomniano. Tylko ten policjant o tym napomknął, a i to dopiero, jak dostał trochę pieniędzy... Obiecał zainteresować się sprawą, ale nie odezwał się do dziś. My zajęliśmy się pogrzebem i nie mieliśmy głowy do niczego. To była nasza jedyna córka... I teraz, półtora roku później, kiedy wszystko już trochę przyszło, dostaliśmy informację o tym anonimie. Policjanci z Komendy Głównej zadzwonili, żebym przyszedł na rozmowę, i pokazali mi ten list. Nie chcieli mi go dać, ale znam tam jednego, no i... załatwiłem.

Wyjął z teczki kopertę i chciał podać Kowalikowi. Ten początkowo się zawahał, czy wziąć list do ręki. Mogły być na nim przecież odciski linii papilarnych autora. Ale uświadomił sobie, że na pewno list przechodził już przez wiele rąk, choćby jego rozmówców. Nie wiadomo też, czy w Komendzie Głównej otwarto go w sposób bezpieczny. Raczej w to wątpił, więc na kopertę i kartkę już dawno naniesiono tyle odcisków, że badanie daktyloskopijne nic nie da. Wziął więc kopertę do ręki i wyjął z niej kartkę. Nie było tam wiele tekstu. Ktoś napisał na komputerze i wydrukował zaledwie kilka słów:

Dziewczyzna Dominika półtora roku temu znaleziona w lipcu w Krynicy Morskiej jako utopiona wcale się sama nie utopiła. Wrzucona była nieżywa do wody. O tej sprawie dobrze wie sporo osób w Krynicy.

Oprócz tego, że rozpoznał popularną czcionkę Calibri 12, nic więcej z kartki nie można było na razie wyczytać. Na kopercie był stempel pocztowy z Nowego Dworu Gdańskiego, miasta położonego najbliżej Mierzei Wiślanej, i tyle. Kopertę zaadresowano odręcznie i to było bardzo istotne. Pismo autora od razu ocenił jako słabo wyrobione i jakieś dziwne. Tak jakby ktoś adresował kopertę na nierównym podłożu.

– Gdyby wrzucono ją nieżywą, nie miałyby wody w płucach – oświadczył w końcu detektyw.

– To samo nam powiedział ten oficer w Komendzie Głównej – potwierdził Marek. – Ale spokój nam to zburzyło. Bo przecież z jakiegoś powodu ktoś to napisał i wysłał. Policjanci stwierdzili, że to za mało. Śmierć Dominiki została uznana za utonięcie i nie ma opcji, żeby znowu wszczynać śledztwo. Tak przynajmniej twierdzili. Ale ktoś to przecież musi zbadać... Bo jeśli to było morderstwo, to nie może ująć bezkarnie. Przyjmie pan tę sprawę? – zakończył zdesperowany.

Kowalik westchnął ciężko.

– To wymagałoby wyjazdu do Krynicy i długiej pracy tam na miejscu.

Jego rozmówca nagle jakby oprzytomniał.

– Ale ja panu nie zaproponowałem nic do picia! Co panu zamówić?

– Zieloną herbatę poproszę. – Kowalik wiedział, że jego rozmówca chce go w ten sposób zatrzymać przy stoliku i kupić sobie czas na przekonywanie.

Kiedy mężczyzna poszedł złożyć zamówienie, jego żona uważnie przyglądała się detektywowi, jakby chcąc odgadnąć, czy rzeczywiście nie ma ochoty na podjęcie się tej pracy, czy tylko przeciąga decyzję, żeby uzyskać dobrą pozycję do negocjacji. Nie wiadomo, do jakich wniosków doszła, ale ponieważ Kowalik nie spieszył się z odpowiedzią, wyznała ze smutkiem:

– Stać nas na pokrycie wszelkich kosztów. Mamy zakłady wytwarzające żywność, produkujemy gotowe dania. Poszczęściło nam się w życiu finansowo, ale tylko finansowo... Po co nam te pieniądze, jak nie ma ich komu zostawić? Powiedziano nam, że jak pan się podejmie, to zrobi wszystko, żeby sprawę wyjaśnić. Proszę, niech się pan zgodzi...

Do stolika wrócił jej mąż, usiadł i wbił wzrok w detektywa.

A Kowalik się zastanawiał. Nie uznał sprawy za beznadziejną czy bardzo trudną, bo nigdy na wstępie niczego nie szufladkował. Był jednak pewny, że szukanie śladów po upływie takiego czasu od zdarzenia, w miejscowości wczasowej, przez którą przewijają się tysiące osób, będzie bardzo mozolną pracą. Nie da się jej wykonać zdalnie, musiałby tam pojechać, a bardzo nie chciał. Z drugiej strony, jeśli weźmie tej sprawy, to ci ludzie pójda do kogoś innego. Jeśli trafią na łobuza, a takich w jego branży nie brakowało, to latami będzie wyciągał z nich pieniądze, pozorując robotę i wymyślając kolejne działania. I nie będzie mu zależało

na wyjaśnieniu sprawy, bo wtedy przecież skończyłyby się pieniądze.

Ciszę przerwał ojciec.

– Nie będziemy się targować, jeśli o to chodzi. Za wykrycie sprawcy oferujemy sto tysięcy złotych. – Zawiesił głos dla lepszego efektu. – A na początek przeleję panu dwadzieścia tysięcy i pokryję wszelkie koszty po przedstawieniu rachunków. Czy to pana satysfakcjonuje?

Te słowa ostatecznie przekonały Kowalika co do jednego: jeśli nie przyjmie tej sprawy, to ktoś inny zrobi to z radością i złupi tych ludzi bezwzględnie.

Kelnerka przyniosła herbatę, a Kowalik pił w milczeniu. W końcu uznał, że trzymanie ich w napięciu jest niehumanitarne.

– Zrozumcie państwo, dlaczego się waham. Musiałbym w tej chwili tam jechać. I tak minęło już zbyt dużo czasu, nie można dalej zwlekać. Może się okazać, że praca na miejscu zajmie dobre kilka tygodni.

– A niech pan tam siedzi i do lata. Pokryję koszty – zapewnił Postolny.

– A nie obawia się pan, że pana naciągnę i nic nie zrobię? – Jacek nie darował sobie tego pytania.

– Po pierwsze, trochę się znam na ludziach – stwierdził z nieznacznym uśmiechem mężczyzna. – I pan nie jest typem naciągacza. A po drugie, dostaliśmy o panu tak pozytywną opinię, że zupełnie się tego nie obawiam. Przekonywano nas, że jako były dowódca policyjnych komandosów ma pan ogromną wiedzę i doświadczenie, a poza tym jest pan człowiekiem bezkompromisowym i jeśli zaangażuje się pan w sprawę, to na całego.

– A kto mnie tak zareklamował? – Nie da się ukryć, Kowalik był mile połączany.

– Nie mogę panu powiedzieć. Ten ktoś zastrzegł, że jeśli powiem, to pan tego zlecenia nie weźmie. Wynika z tego, że to nie był pana przyjaciel, a to jeszcze dodaje wartości tej rekomendacji.

Nie pozostało mu nic innego, jak przyjąć tę sprawę, ku wyraźnej radości zleceniodawców. Podał im dane do przelewu i się rozstali.